DODATEK LITERACKI
DO „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO"
WYCHODZI CO DWA TYGODNIE.

Rok II. | Berlin, niedziela, dnia 22 stycznia 1922 r. | Nr. 2.

Kiedy widzisz . . .

Kiedy widzisz skrę, co pryska
Z nakowadła i ogniska,
Gdy dłoń widzisz z kielnią, z młotem,
Jak nad głową śmiga hardo,
Gdy na twarzy zlanej potem,
Odgadujesz dolę twardą,
Uchyl głowy, synu miły,
Przed tym, co się krwawo znoi:
Lud i praca, to są siły,
A świat cały niemi stoi.

A jak ciebie kto zapyta:
Kto ty taki? Skąd ty rodem?
Mów, żeś z tego łanu żyta,
Żeś z tych łąk co pachną miodem...
Mów, że jesteś z owej chaty,
Co piastowem gniazdem była,
Żeś z tej ziemi, kędy kwiaty
Gorzka rosa wykarmiła.

Miły synu, wiedz to sobie,
Że jest życie w każdym grobie,
W każdej nocy jest zaranie,
W każdej śmierci — zmartwychwstanie.
Więc gdy stoisz nad mogiłą,
Albo czytasz dawne dzieje,
Pomyśl: słońce się zaćmiło,
Ale znowu zajaśnieje.

Szanuj, drogie dziecię moje
W małem ziarnku — przyszłe plony,
W małej kropli — przyszłe zdroje,
A w groszu — miljony.
W myśli szanuj — zaród czynu,
Życie — w chwili, co ucieka,
A sam w sobie szanuj, synu,
Przyszłego człowieka.

M. Konopnicka.

Podania o powstawaniu grodów polskich.

O założeniu Warszawy.

Początki Warszawy, jak tylu innych miast naszych, gubią się w pomroce wieków. Lud tylko przechował po dziś dzień różne podania, które mają wyjaśniać pochodzenia nazwy tej drugiej stolicy Polski. Jedno z tych podań w taki sposób przedstawia początek Warszawy:

Tam, gdzie dzisiaj stoją pałace możnych panów i domy mieszczańskie, gdzie szerokie i ludne ulice brzmią życiem wielkiego miasta, była niegdyś puszcza, pełna zwierza dzikiego. Tylko kilka skromnych lepianek ożywiało ciche brzegi Wisły. W puszczy tej zabawiali się chętnie książęta polowaniem. Jeden z tych książąt, Kazimierz, pędząc za jeleniem dzień cały, stracił z oczu dworzan swoich i zbłądził. Zmęczony całodzienną wędrówką, postanowił już resztę nocy przepędzić pod gołem niebem, gdy słabe światło zabłysło w oddali. Zapukał strudzony książę do nędznej lepianki. Przyjęty gościnnie przez biednego mieszkańca chaty, wywdzięczył mu się za przytułek w ten sposób, że sam trzymał do chrztu dwoje dzieci jego chłopczyka i dziewczynkę. Chłopcu nadano przy tym obrzędzie imię Wars, a dziewczynce Sawa.

I później nie zapomniał książę o tej rodzinie. Dwór jej wystawił i ziemią obdarzył, a gdy na tem miejscu i inni ludzie osiedlać się poczęli, nadano nowopowstałemu miastu od imion dwojga tych dzieci imię: Warszawa.

Flisacy zaś, którzy zboże na tratwach Wisłą do morza Bałtyckiego przewożą, tak sobie opowiadają o początku Warszawy:

W tem miejscu, na którem dzisiaj wznosi się Warszawa, stała chałupa, a w niej mieszkała kobieta, trudniąca się przygotowaniem gorącej strawy dla zgłodniałych i zmęczonych drogą flisaków. Na imię było jej Ewa. Znali ją wszyscy flisacy. Co dnia więc, gdy na środku Wisły od strony Krakowa pojawiły się tratwy, obciążone zbożem lub drzewem, dawało się słyszeć wołanie:

— Warz, Ewo! Warz, Ewo!

Miałać ona wprawdzie zawsze wszystko przygotowane do przyjęcia głodnych i strawę miała zwarzoną, lecz flisacy z żartu powtarzali wciąż to wołanie, jakby bojąc się, aby kiedy o nich nie zapomniała.

Od tego wołania powstać miało imię miasta: Warzewa, a potem: Warszawa.

(Według Wójcickiego).

Założenie Gniezna.

Zbliżało się południe. Rzeka, nieuspokojona jeszcze po wiosennych rolewach, tu i ówdzie rwała brzegi, zalewała łąki. Ustępująca woda pozostawiła w zatokach pełno mułu. Obsiadły go roje skrzydlatych owadów, podrywających się z brzękiem, gdy stary żubr, który w błotku szukał chłodu, a w powłoce z mułu ochrony przed żądłami much i bąków, poruszył niecierpliwie głową lub ogonem dla odpędzenia naprzykrzonej zgraj.

Nagle daleko w głębi boru zaskrzeczały sojki: znakiem trwogi bywa takie skrzeczenie. Ostrożne czajki uniosły się wnet z traw nadbrzeżnej łąki, spłoszone dziwnym jakimś, nieznanym w tych pustkowiach głosem. Las od nadbrzeżnej polany dzieliły zarośla gęste, przysłaniające widok. Czajki, krążąc z wrzaskiem,

zbliżały się w stronę rzeki. Powstał na nogi żubr, sapnął, otrząsnął się z much i błota, chwilę słuchał, poczem zwolna zanurzył się w nurty i popłynął ku drugiemu brzegowi. Z zarośli poczęły dolatywać różne odgłosy.

Coś zaskrzypiało, niby koń zarżał, to znów jakby śpiew doleciał uszu lub gwar rozmowy. Z nadbrzeżnych trzcin spłoszone kaczki, bąki, bekasy i inne dzikie ptactwo, krzycząc, ulatało w popłochu. Jakiś wielki tłum szedł z boru przez zarośla. Wybity stopami ludzi i zwierząt pył unosił się, jak dym pożogi, nad lasem. Wydłużał się ów słup kurzu coraz bardziej. Gdy jeden koniec dosięgał już łąki, drugi wciąż opierał się o kraniec lasu i ciągle jeszcze nowe zastępy wyłaniały się z gęstwiny.

Na łąkę, pokrytą kwieciem i trawą, wybiegły wielkie, kosmate brytany. Musiały długo uganiać po cienistym borze, gdyż oblane światłem słońca, zatrzymały się chwilę, jakby oślepione; wkrótce jednak z radosnem szczekaniem poczęły hulać wśród bujnych traw. Za psami wyjechał na rumaku białym, jak mleko, starzec białobrody, wspaniałej postaci. W białą szatę odziany, bielił się w słońcu, aż oczy od patrzenia bolały. Na głowie miał wieniec z dębowych liści; snadź wodzem był. Za nim sunęło kilkudziesięciu jeźdźców zbrojnych, ubranych w skóry, tu i ówdzie bronzowemi blaszkami ozdobione. Tworzyła taka skóra zwierzchnią odzież i rodzaj pancerza. Na głowach mieli czaszki zwierząt z rogami i skórą, spadającą na plecy; u boku wisiały kołczany strzał pełne i łuki. Inni dzierżyli w rękach dzidy, u jeszcze innych widać było na długim rzemieniu do siodła przymocowane młoty kamienne, co to i rzucić niemi w nieprzyjaciela zdaleka i ujawszy za trzon, łeb zbliska rozwalić można. Pomimo takiego przybrania, pomimo zarosłych i ogorzałych twarzy, kudłatych głów, lud ten miał widoczną łagodność w spojrzeniu.

Jeźdźcy, otaczający starca, stanowili zapewne coraz to nowe postaci: jechali konno, szli obok dwukołowych wozów, krytych skórą i rogożą, biegły psy, zapędzając do gromady owce i bydło, którego kilka stad ciągnęło w taborze. Koła u wozów z jednego pnia piłowane, grube i ciężkie, skrzypiały przeraźliwie. W wozach mieściły się drobne dzieci, starcy lub słabsze kobiety; ówdzie mały cielak lub wyciągały szyje, tęsknie becząc za matką, z którą musiano je chwilowo rozłączyć, bo nie zniosłyby tak dalekiej drogi.

Starzec, dostawszy się z oddziałem konnych na łąkę, wodził chwilę wzrokiem po okolicy i skierował następnie rumaka w stronę pagórka, na którym stał ogromny dąb od pioruna rozdarty.

Na tym dębie mieściło się orle gniazdo. Orzeł, zaniepokojony widokiem jezdnych, zerwał się, lecz zatoczywszy koło, napowrót zasiadł spokojnie w gnieździe. Wódz sędziwy przysłonił oczy, śledząc ruch ptaka, poczem zwrócił się do swej drużyny ze słowami: „Dobry to znak. Orzeł ma tu swoje gniazdo i czuje się w niem bezpieczny. My też po długiej wędrówce tu gnieździć się poczniemy. Niech nam wyrosną orle szpony do obrony, orlim wzrokiem starajmy się wypatrzyć wroga, orlim lotem śpieszmy osłaniać nasze gniazda od napaści i niech ten ptak będzie odtąd znakiem naszego plemienia! Pod tym dębem stanie ołtarz wszechmocnego Świętowida, a burze, pioruny i źli ludzie oby omijali tę ziemię!“

— „Niech żyje Lech, niech żyje plemię Lechitów!“ ozwał się gromki okrzyk, gdy stary wódz skończył mówić.

Tymczasem wozy poczęto ustawiać w olbrzymie półkole, którego krańce dotykały brzegów rzeki. Wozy te początkowo służyć miały za mieszkanie i obronne obozowisko. Z biegiem czasu jednak z pierwotnego takiego obozu utworzyła się osada, pierwsza lechicka osada. Lud mnożył się, budował nowe siedziby, o osada urosła w miasto, w przesławną pielesz[1]) polską, nazwaną od owego gniazda na dębie — Gnieznem.

Józef Ryszkiewicz.

Lwów.

Prawie siedmset lat temu, w r. 1259, gorzało miasto Chełm. Łuna pożaru była tak wielka, że widzieli ją nawet ludzie ze Lwowa patrzący.

Tak napisał naoczny świadek pożaru, kronikarz ruski, a skoro łunę widać było ze Lwowa, to oczywista, że Lwów istniał w tym roku. I to jest pierwsza wiadomość o Lwowie.

Niewiele lat przedtem na miejscu dzisiejszego Lwowa pustki były i niedostępne bagniska. Dokoła jednak wznosiły się grody, jak Halicz, Trembowla, Przemysł, nad któremi panowali książęta ruscy. Grody te pod ich berłem zostawały. Ale kraj był biedny i nieszczęśliwy, bo dał mu Bóg sąsiada złego: dzicz tatarską, mordów i łupieży chciwą, dzikich Połowców i wszelakie hordy, które z dalekiej Azji szły na zniszczenie świata chrześcijańskiego.

Właśnie na lat kilka przed założeniem Lwowa rozszalało nad ziemią ruską piekło najazdu tatarskiego. Gdy przeszedł ten huragan krwi, mordów i pożogi, zostały na całej ziemi tylko zgliszcza dymiące. Wyludniły się sioła i grody, na ołtarzach świątyń zielsko porosło i chwasty. Zwierz dziki wył nocami na pogorzeliskach, a człowiek krył się po lasach.

Wówczas rzekł sobie książę Lew, że lepiej zaiste budować grody na niedostępnem miejscu, aby ich wróg nie dosięgnął. I upodobał sobie bagnisko, lasem porosłe, nad rzeką Pełtwią i górę wysoką, która ponad niem sterczała. Na górze gród zbudował warowny, wałami i ostrokołem drewnianym opasany i sam tu osiadł z drużyną swoją wojenną. Pod skrzydłami grodu, u stóp góry, na dzisiejszem Żółkiewskiem przedmieściu rosło miasto, nad wieś początkowo nie większe, a rzemieślników pełne i kupców którzy zbiegli się tutaj ze stron różnych, czasami bardzo dalekich.

Przez sto lat przeszło panowali nad Lwowem książęta ruscy. Kiedy ostatni z nich, Jerzy II, zmarł, objął dziedzictwo po nim jego krewny, Kazimierz Wielki. Król Kazimierz odbudował miasto zniszczone wskutek ciągłych najazdów nieprzyjacielskich, ale w miejscu innem, w samej kotlinie, opodal, nad rzeką Pełtwią.

Jest tedy Kazimierz Wielki powtórnym założyciel Lwowa. Pod jego okiem i za jego radą wznosiło się miasto nowe, w czworobok murem i wałem opasane. Kazimierz Wielki nadał tym, którzy chcieliby osiedlić się w mieście, szerokie swobody położył fundament pod ratusz i katedrę, a dla obrony Lwowa dwa zamki zbudował z cegły: jeden na górze wysokiej, na miejscu dawnego zamczyska książąt ruskich, zwany Zamkiem Wysokim, a drugi zamek w samem mieście, Zamkiem Niskim zwany.

Na wiadomość o powstaniu miasta nowego, położonego na głównym szlaku handlowym między krajami wschodniemi a zachodniemi, poczęli się zewsząd zbiegać do niego ludzie. Szli więc długim szeregiem Niemcy ze Śląska i z dalekiej Frankonji, Polacy z wszystkich stron Polski, szli z dalekiego Wschodu bro-

da Ormianie, osiadali tu chętnie Żydzi, a nawet Tatarzy, Włosi i Szkoci przybywali zdala, zarobku żądni i bogactwa.

Ciągłe niebezpieczeństwo wojny i napadów tatarskich wyrobiło w mieszczaństwie lwowskiem rycerskiego ducha, dalekie zaś wyprawy handlowe i liczne przywileje królów polskich dały im bogactwa niezmierne. A oni, dzierżąc miecz w dłoni i wagę kupiecką, wpatrzeni w gorejącą ustawicznie łunę od wschodu, stali się niebawem przedmurzem Polski i jej przednią strażą. Była w nich siła wielka i moc, była powaga i dostojność, która sprawiała, że najlepsi i najznakomitsi ludzie w Polsce uważali się za ich przyjaciół, a nawet królowie przyjaźnią ich darzyli i stałą opieką.

Kiedy po śmierci Kazimierza Wielkiego i krótkim okresie rządów węgierskich stanęła pod murami Lwowa królowa Jadwiga, miasto chętnie otworzyło jej bramy. Tak samo chętnie i z wielką radością witało zawsze króla Władysława Jagiełłę, który bardzo częstym bywał gościem we Lwowie, i nie szczędziło jemu i królewskiemu dworowi podarków, odwdzięczając się w ten sposób za liczne łaski.

Jagiełło darował miastu wielkie obszary gruntów, świadczył dobrodziejstwa kościołom tutejszym i klasztorom, wyniósł Lwów do rzędu największych i najpotężniejszych miast w Polsce.

Nie było zdarzenia historycznego w Polsce za Jagiełły, którego echo nie odbiłoby się we Lwowie. Po wiekopomnem zwycięstwie grunwaldzkiem część jeńców krzyżackich była tutaj więziona; miasto witało potężnego króla, gdy z pól śniatyńskich wracał po otrzymaniu hołdu od wojewody mołdawskiego Aleksandra; witało go, gdy w ciężkiej żałobie po śmierci królowej Jadwigi pierwsze swe kroki skierował do Lwowa i na Ruś, aby na łowach stłumić żal swój serdeczny.

W takiej doli i niedoli zawiązały się między mieszczanami lwowskimi a królem stosunki bliskie i poufałe. Rajcy lwowscy odwiedzali go, ilekroć przebywał pod Lwowem, król przysyłał na stół radziecki w ratuszu upolowaną zwierzynę wzamian za dary mieszczan, które skromne były i proste, jak proste było życie w tych czasach. Król otrzymywał w darze od mieszczan sukno najrozmaitsze, pieprz, ryby, kobierce, czasem parę wołów lub beczkę miodu syconego, nierzadko nawet parę butów i futro.

Tak samo serdeczną miłością Lwowa cieszyli się następcy Jagiełły: Władysław Warneńczyk, Kazimierz Jagiellończyk i Jan Olbracht. Za przykładem królów i panowie i szlachta nie szczędzili mieszczanom lwowskim wysokiego poważania.

I zaiste ci kupcy i rzemieślnicy nie mieli powodu wstydzić się wobec największych nawet panów. Prawie każdy z nich, wykształcony w szkole lwowskiej, istniejącej przy katedrze, szukał potem nauki w Krakowie lub po krajach dalekich. Stąd też był Lwów gniazdem uczonych, pisarzy i poetów. Prawo obywatelstwa miejskiego takim było klejnotem, że nieraz i szlachta ubiegała się o nie. Mieszczaństwo lwowskie w swych najświetniejszych chwilach stawało zawsze na równi ze szlachtą i zawierało z nią braterskie związki dla wspólnej przed wrogiem.

W takim stanie świetności i potęgi Lwów przetrwał długie czasy. A kiedy wielki pożar w r. 1525 zniszczył miasto, z gruzów wnet odbudował się Lwów nowy, równie potężny i bogaty, jak dawny.

Franciszek Jaworski

Wpływy języka niemieckiego na gwarę górnośląską pod względem słownikarskim.

Germanizacja podziałała na nasz język poprostu fatalnie. Z tego powodu gwara polaków górnośląskich zmodernizowała się, a to na niekorzyść polskości, przyjmując do swego żywiołu germanizmy mniej lub więcej przetrawione.

„To, co Aleksander Brückner pisze w Encl. Polskiej, Część I. w swojej pracy „Wpływy języków obcych" na stronie 147 o powodach przenikania wpływów obcych do języka ojczystego, stosuje się, co do Górnego Śląska w najwyższym stopniu. Podaję dosłownie jego wywody: „I dzisiaj, jak dawniej wystawiony jest nasz język na rozmaitsze wpływy obce. Przy ciągłej wymianie nowych nabytków kultury, przemysłu itd. wędrują z rzeczami samemi, pojęciami nowemi itd. i ich obce nazwy, przy zmienionych z gruntu stosunkach politycznych wzmogły się wpływy obce, szczególnie na pokolenia dorastające, przez szkołę, służbę wojskową, przez kolonizację obcoplemienną."

Za ogólną zasadę można przyjąć, iż wyższa kultura niemiecka, a zwłaszcza najnowsze postępy kulturalne narzuciły Ślązakowi mnóstwo nowych słów niemieckich, tj. nazwisk rzeczy, których dawniej nie znano. Nieomal zupełna izolacja Śląska od reszty Polski spowodowała, że Śląsk pod względem kulturalno-językowym stoi setki lat poza rozwojem kulturalno-językowym Polski. Pojawienie się nowo-wynalezionych rzeczy np. kolei, wodociągu, stągwi, kopalni, tramwaju, kanapki itd. nie potrafił Ślązak inaczej wyrazić tylko, jak to słyszał u Niemców. Jak dalece wpływ niemiecki wżarł się w duszę Ślązaka, okazuje się z następującego przykładu. Wyraz „gruszka" jako oznaczający owoc, jest mu dobrze znanym, tymczasem powiada na niemieckie „die elektrische Birne" „byrna", słowa zaś polskiego „żarówka" nie zna wcale.

Najfatalniej objawia się wpływ języka niemieckiego na polską gwarę górnośląską w tym kierunku, że Ślązak poprostu zapomniał mnóstwo wyrazów polskich. I ten proces rozwija się niestety jeszcze ciągle. Pod wpływem najnowszej germanizacji brakuje Ślązakowi wiele wyrazów polskich. Zastępuje on takie, jeszcze nieznane wyrazy najprzód przez ogólniejsze, szersze pojęcia. Pojęcia ruczaju, strumienia wyraża przez „rzeka" albo niekiedy jeszcze ogólniej przez „woda". Za wyrazy: zadanie, wypracowanie, praca, czynność używa tylko wyrazu „robota". Pod tłuszczą, tłumem, mnóstwem ludzi, rozumie on tylko „kupa ludzi".

Dalej wyraża słowa, które gwarze brakują wprost przez wyrazy niemieckie. Są to przeważnie przeróbki gwarowe np. wybierać (tylko politycznie) wyraża przez „welować". Na falę mówi się „wela" i stąd kołysać — falować, także przez „welować" np. „jo weluja na Korfantego" ale „lelita sie we wodzie welujom".

Inne wzory są:

Zapałka — sztrachecel lub faircok, guzik — knefel, skarpetki — fuzekle, kurtka — jakla, siennik — strużak, pończochy robić — sztrykować, kołnierz — kraglik (lub kragel), kolejarz — baniorz.

Po drugie używa Ślązak wielu nieprzerobionych zapożyczonych wyrazów niemieckich np.: zaczepić — angrajfować, kapelusz — hut, kartka wyborcza — walcetla, zarzutka — ibercyjer, ubranie — ancug, czyścić — pucować, prasować — biglować, zeszyt — heft,

kamizelka — westa, sypialnia — szlafsztuba, stągiew — wasserlajtung albo sztynster, kolej — bana, błąd — feler, bażant — fazan, powietrze — luft, węgorz — al, na koniu jeździć — rajtować, akuszerka — hebame, szafa — szrank.

Niektórych wyrazów polskich lub gwarowych używa Górnoślązak pod wpływem niemieckich form językowych w układzie niemieckim lub wprost tłumaczy całe zwroty dosłownie:

Naprzykład: „Es fängt Feuer“ — „chycił ogień“ lub „sich gefallen lassen“ — „dać sie spodobać“ lub „ein Examen bestehen“ — „eksam łobstoć“ lub „Zeitung halten“ — „cajtunek trzymać“ lub nareszcie „Nichts ausrichten — „nic nie wyrychtować“. Łacińskie, greckie lub francuskie wyrazy zastąpiono w gwarze przez wyrazy niemieckie np.: „scena“ — auftryt, scena — bina, sala — zal, racja — recht np. „ty mosz recht“, gazeta — cajtunek, adwokat — reksynwalt, wikt — kust, atrament — tinta, karabin — gywer lub flinta, armata — kanona, korpus — armejkor, tramwaj — sztraszbanka, kanapka — zofa, prasować — presować, nafta — petrona, okulary — brele, elementarz — fibel.

Paweł Gawlik.

Rozmaitości.

Coster czy Gutenberg? Każde dziecko wiedziało dotychczas, że wynalazek sztuki drukarskiej zawdzięczamy Gutenbergowi. Nie tak pewna tego jest nauka i od wieków rozgorzał między rzeczoznawcami spór, czy rzeczywiście Gutenberg jest wynalazcą drukarstwa, czy też już przed nim zasługa ta należała do Holendra Costera. Holendrzy już przed 200 laty wystawili pomnik Costerowi a w latach 1823 , 1856 obchodzono w Holandji pamięć Costera wielkiemi uroczystościami. Od lat spór ucichł, by dziś znowu z dawną zaciętością rozgorzeć. Prof. Gottfried Zedler, który od lat 20 studjuje sporną kwestję, opowiada w („Boersenblatt fuer den deutschen Buchhandel“,) że dokładne badanie staroholenderskich druków wykazało, iż czcionki odlewane były w formie znacznie prymitywniejszej niż późniejsze litery mogunckie Gutenberga. Dowodzi, że wiadomość zaczerpnięta z „Kroniki kolońskiej“, jakoby wynalazek Gutenberga początek wziął w wczesnych drukach holenderskich, zasługuje na najzupełniejszą wiarę. Prawda, że wynalazek holenderski ograniczał się do trudnego i kosztownego lania czcionek. Te wczesne druki pochodzą z Haarlemu a autorem ich jest Coster. Według profesora Zedlera, Gutenberg użył wynalazku Costera, udoskonalając go wprowadzeniem metalowych matryc i przyrządu do ręcznego lania. Jemu więc sztuka drukarska wiele zawdzięcza i zasługi jego nie są umniejszone jeżeli i Coster je z nim dzielić będzie.

Zabobony geniuszów. Zabobon uważa się przeważnie za przywilej sfer niewykształconych; ma on swe źródło według powszechnego mniemania w prymitywnym światopoglądzie.

Takie ogólnie przyjęte rozumienie jest jednak niesłuszne, — przeocza bowiem ogromną ilość dowodów, które ilustrują często w nadspodziewany sposób jak niepospolite nieraz umysły, otoczone aureolą sławy, hołdowały przesądom. Oto Napoleon stale nosił przy sobie swój amulet i nigdy bez niego nie ruszył w pole, znakomity przyrodnik Edison wstrzymywał się każdego piątku od pracy. Te choćby przykłady rzucają jasne światło na prymitywną zabobonność wielkich ludzi.

„Zabobon — pisze już Goethe — jest dziedzictwem energicznych, ciągle czynnych, postępowych natur, niewiara zaś właściwością słabych, mało myślących i wstecznych, ograniczonych tylko do zrozumienia siebie ludzi.

Skarby na dnie morza. W styczniu 1917 r. parowiec oceanowy „Laurentic“, najechawszy na niemiecką minę podwodną w kanale Irlandzkim, zatonął z całą prawie załogą. Dwieście sześćdziesiąt osób straciło przytem życie, a jednocześnie poszło na dno morskie siedem miljonów funt. sterl. w sztabach złotych, wiezionych z Ameryki do Anglji.

W 1919 r. rząd angielski przedsięwziął prace nad dobyciem tego złota z dna morskiego. W roku tym zdołano istotnie, przy pomocy nurków, wydobyć z rozbitego okrętu złota za pół miljona funt. sterl. W następnym roku znów dobyto kilka skrzynek, a jak teraz donoszą z Londynu, w grudniu r. z. nurkowie wydobyli jeszcze 12 skrzyń, z których każda zawierała 1 200 funt. sterl., poczem prace przerwano z powodu burzliwej pory zimowej.

Przy tej sposobności londyński „Daily Express“ przypomina o innych skarbach, leżących dotychczas na dnie morskim. Tak np. pewne przedsiębiorstwo amerykańskie pracuje obecnie nad wydobyciem z głębin morskich parowca „Meridiaz“, który, wioząc w r. 1912 z Meksyku trzy miljony dolarów w sztabach srebra, zatonął na wysokości Nowego Jorku.

W zatoce Vigo wciąż jeszcze leży na dnie morskim skarb wartości 28 miljonów funt. sterl. w złocie, srebrze i drogich kamieniach, wiezionych przed półtora wiekiem z ówczesnych kolonji hiszpańskich w Ameryce południowej do Hiszpanji przez okręty hiszpańskie. Wskutek gwałtownej burzy wszystkie te okręty zatonęły.

Na wysokości Sewastopola leży w głębinach morskich fregata angielska „Black Prince“, zatopiona podczas wojny krymskiej przez ogień dział fortecznych Sewastopola. Okręt ten posiadał w swej kasie pół miljona funt. sterl. w gotówce.

U wybrzeży Kornwalji leży galjota hiszpańska, w której znajdowało się 17 miljonów dolarów w złocie; u wybrzeży Esseken zatonął skuner holenderski „Brouwe Polder“ z pół miljonem funt. sterl., a w pobliżu przylądka Flamborough — żaglowiec „Farina“ z trzema miljonami funt. sterl. w złocie. Wszystkie te skarby nie mówiąc już o skarbach słynnej Wielkiej Armady hiszpańskiej, rozbitej przez anglików w kanale La Manche, oczekują na wydobycie z dna morskiego.

Humor i satyra.

W 30-tym wieku.

Pasażer do awiatora: — A dlaczego my jedziemy teraz tak powoli?

Awiator: — Jesteśmy właśnie wśród mlecznej drogi. Skutkiem obracania się śróby wytwarza się masło i utrudnia lot.

Pewna oznaka.

Gapski: Panna Julja interesuje się teraz mną o wiele żywiej niż dawniej.

Chłapski: Skad wiesz o tem?

Gapski: Z zupełnie pewnych oznak. Kiedym jej dawniej co ciekawego opowiadał, ziewała pięć do sześć razu w ciągu kwadransa, ocecnie zaś ziewa dwa lub trzy razy najwyżej.